Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

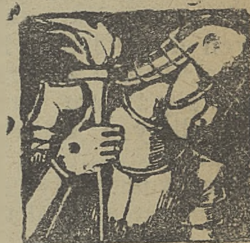
MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Adres Redakcji „Myśli Narodowej": Zgoda 5, I piętro, tel. 275-11. Godziny przyjęć codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt. Adres Administracji: Zgoda 5, tel. 26-58.

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Rok IV. Warszawa, 3 Maja 1924 r. № 18.



Cena numeru 25 gr.

MAŁOPOLSCY POTOCCY.

Generalizować oczywiście nie należy, ale skonstatować trzeba, że galicyjscy reprezentanci Pilawitów rodu, „Czas" krakowski subwencjonujący, co czas jakiś fatalnie się sprawiają i w negatywny sposób narzucają opinji publicznej. Niedawno na tem miejscu skarciliśmy jak należało młodego carla z Łańcuta za jego wycieczkę do Sudanu; oczywiście zaraz listy, telefony, gorzkie żale, wyrzuty, jak można było? itp. Roman, Alfred i Jerzy Potoccy zbagatelizowali sobie cały monit i kpiąc sobie z chudego literata pojechali na łów na łów, co wnet ciężko zaważy na całej wielkiej własności i dziwić się temu nie będzie można. Powinien był w tej sprawie głos zabrać stary kamerdyner „Czas" i wyperswadować jaśnie paniczom peregrynację operetkową, ale tego nie zrobił. Świeżo mamy do zanotowania znowu fatalny casus z młodym Potoc-

kim z Krzeszowic, który w jedną noc w „końskiem kasynie" w Krakowie, w lichutkim klubie panków zachodnio-galicyjskich przerżnął szpetnie przeszło 50.000 dolarów! Syn śp. Andrzeja! jednego z moralnie najpiękniejszych ludzi jakich wydała Galicja! mający duże rodzeństwo, a niedużą fortunę. I tu znów powinien był głos zabrać stary kamerdyner „Czas" i piórem jakiego nowego Goliana zgromić poważnie młodych esquirów, którzy w takich czasach tak plamią tarczę herbową i tak szkodzą zabójczo historycznej warstwie. Niedawno opowiadano nam znowu aferę z przed trzech lat z zamkiem Sieniawą, który Potoccy wydzierżawili żydom Muskatenblüthom: Wilhelmowi i Joachimowi; ci sobie w kaplicy Sieniawskich urządzili gnojownię i dopiero wielka awantura, jaką zrobił bohaterski porucznik Wilonek, rozprawa sądowa, skandal, doprowadziły do tego, że panowie Potoccy swoich Muskatenblüthów przepędzili.

W ten sposób walczą mało polscy Potoccy z nacjonalizmem, tradycjonalizmem, antysemityzmem itp. narowami i zabobonami naszych czasów. Nacjonalizm ślepy i barbarzyński poucza p. Potockiego z Łańcuta, że w takich czasach należy się kontentować polowaniem u siebie, w Białowieży, na lisy, na dziki w Karpatach, ale nie urządzać eskapad prowokujących do Sudanu. Nacjonalizm zaciekły i chorobliwy poucza Potockiego z Brzeżan, że zamku Sieniawskich nie wydzierżawia się żydom na stajnie, chlewy i gnojówki. Nacjonalizm krzykliwy i zaczepny młodemu Potockiemu z Krzeszowic odradza stanowczo pokera i bridg'a po nocach i przegrywania takich sum, gdy się ma tak duże rodzeństwo i gdy się jest synem męczennika i bohatera narodowego i jednego z najzacniejszych ludzi.

To też ten nacjonalizm nieposkromiony znalazł sobie też wroga w jednym z Potockich i to zaprzysiężonego, zaciekłego i już nieco za bezceremonialnego wroga, którego też już najwyższy czas trzepnąć nieco po palcach.

Jest nim graf Franciszek z Peczary, osiadły od niedawna w Krakowie, ongiś w Kijowie podobno człek kulturalny, oświecony, miły, ciepły, sympatyczny, dziś posępny, zgryźliwy, zjezuiciały, zbigociały, zenkajniony monoman, uważający Alma Mater za Cambridge plus Oxford, „Czas" za Times+Temps, Sukiennice za pępek globu a Endecję za smoka wawelskiego, którego winien zabić pierwszy lepszy szewczyk Kuba; wonczas raj zapanuje na ziemi, stolicę Polski przeniosą do Krakowa, a Potoccy wrócą do Peczary.

Ten to François d'Assizi niedawno temu pozwolił sobie na bardzo już niesmaczny koncept. Kiedy jedno z katolickich pism francuskich rozpisało ankietę w sprawie nacjonalizmu („Le Nationalisme et la conscience catolique" w „Les Lettres") zaproszono do zabrania głosu w tej sprawie z Polski obok ludzi kompetentnych (p. Adama Żółtowskiego, Ojca Woronieckiego, śp. księdza Lutosławskiego) z polecenia krakowskich Ojców Jezuitów także i hrabiego z Rynku, jako „poli-

tyka"(?) i jednego „z najwybitniejszych publicystów swego kraju“ (sic). Dosłownie.

I zarażony malarją krakauerską monoman napisał sobie z całą swobodą efroncki, lichy i płytki paszkwil o „spustoszeniach jakie poczynił w jego ojczyźnie w dziedzinie religijnej" nacjonalizm polski.

Grafiątko kresowe, które dopiero od kilku lat uczy się Polski i zapoznaje ze „sytuacją“, ma tupet siedząc sobie za biureczkiem w pałacyku wypisywać to, co mu do uszek nakładły na konwetyklach rozjadowione mądrale parafialne, Metternichy, wypisywać o obozie, który na sztandarach swoich od 30 lat wypisał: „Bóg i Ojczyzna" i który bronił Okopów Świętej Trójcy przeciw nawale destrukcji i anarchji wtedy, kiedy liczni nasi aristocraches potracili główki i chowali się pod kołdry i za piece. I pisze sobie nasz Sodalis Enkaenus, że w Polsce na masy działa przekonanie, „iż w kraju jest jedna tylko partja, która prawdziwie reprezentuje i jest jedynym obrońcą porządku i interesów narodowych — właśnie partja t. zw. nacjonalistyczna". Następstwa tego są „fatalne“ (sic) pisze sobie grafiątko z zapiecka ciepłego i to wtedy, gdy na ulicy Basztowej antyendecki ludek krakowski morduje ułanów księcia Józefa! Skutki tego są według hr. Potockiego— „fatalne!" „Wszyscy ci, którzy nie chcą do niej przystać, przynajmniej nominalnie, są zaliczeni en bloc do nieprzyjaciół Ojczyzny, pel — mel z komunistami, socjalistami, żydami jako zakała „patrjotów“. „Patrjotów“ pisze sobie w skopkach katolicki kosmopolityk, imiennik Potockiego ze Sudanu, Potockiego ze Sieniawy i Potockiego z „kasyna końskiego“. I dalej szkaluje Polaków pan z Peczary pod dyktandem p. Beauprego, Estreichera, Zador-nego itp.: „Nie trzeba tłumaczyć—do jakiego stopnia zapatrywanie to jest mylne. Niestety jest ono mocno zakorzenione w poczuciu i mózgach dużej większości Polaków. W tem właśnie leży sekret wpływów, które nasi nacjonaliści niezamącenie wywierają na masach: identyfikują się one z samą ideą Ojczyzny"... „Ale nie dość na tem: identyfikując się z Ojczyzną, nasi nacjonaliści potrafili zidentyfikować się w dodatku z katolicyzmem. W pewnym momencie większość laików a nawet część duchowieństwa dała się na to wziąć. Katolicyzm w Polsce w epoce podziałów był jednym z najpotężniejszych czynników obrony narodowej. Był nim do tego stopnia, że przyszło się jednoczyć go całkowicie z ideą patrjotyczną: „Polak" i „katolik" stały się quasi synonimami“...

Według pana Potockiego „wyzyskali“ to „nacjonaliści“... „Formułę „Katolik równa się Polakowi“ zamieniono powoli na formułę „katolik równa się nacjonaliście“. Stąd katolicyzm popadł w zależność od nacjonalistów i stał się jednym z ich najbardziej potężnych instrumentów władzy“.

Poczem wypisuje sobie kresowe „królewiątko na wygnaniu“ jakieś gadaninki o śp. Narutowiczu, ściśle wedle Haeckera i Feldmana, Liebermana, Rosnera, Ehrenberga, Berkelheimera

i Herschelesa. I wreszcie tak wróży popijając rumianek i okrywając nogi pledem:

„Na szczęście, nasze sfery katolickie zaczynają spostrzegać dziś szkody, jakie wyrządził religji i Kościołowi ta identyfikacja całkiem zewnętrzna, katolicyzmu z nacjonalizmem. Istota doktryny naszego nacjonalizmu ekstremistycznego jest, zresztą, absolutnie przeciwna ideałom katolickim".

„Osądzając nasz nacjonalizm ekstremistyczny według jego praktycznego zastosowania, ma się prawdziwą ochotę uwierzyć innej formule: „nacjonalizm będzie w przyszłości potępioną herezją". Wydaje się ona, niestety proroczą, dostosowującą się doskonale do rzeczywistości, którą doktryna nacjonalistyczna stwarza, niestety, w Polsce: demagogja podniesiona do zasadniczej metody działania; moralność dostosowana do granic polityki; religja sprowadzona do pojęcia instrumentu rządzenia; chrystjanizm odarty ze swej boskiej doktryny i zastąpiony koncepcją czysto ludzką ogólnikowego deizmu; wreszcie — trzeba to kiedyś powiedzieć — Kościół narodowy oparty na podstawie antyjudaistycznej i antypapistycznej".

Graf z Peczary plecie jak Parski na mękach, nieodpowiedzialnie i niepoczytalnie. Extremistycznego nacjonalizmu w Polsce niema ani śladu. Niech graf poczyta nieco prasy sowieckiej, hitleroskiej, bawarskiej, królewieckiej, berlińskiej, nieco przedwojenną i wojenną prasę jingoes i unionistów, prasę włoską fascystoską, prasę litewską, ba może i japońskie gazetki, to się dowie co jest nacjonalizm extremistyczny. A co zaś tam sobie gaworzy o tem, że polski nacjonalizm (dziś anemiczny, przepłoszony, skromny, cichy, defenzywny) miałby dążyć do „Kościoła narodowego", „na podstawie antyjudaistycznej i antypapistycznej" to to jest kalumnia i denuncjacja i fałsz. Kościołek narodowy powstawał tam u was w Krakowie z kapłonami Hodurasem i Ptaszkiem itp. Pod bokiem Ojców Jezuitów odbywały się amerykańskie msze. Pod waszymi rządami moralnymi trzeba było w Krakowie zakazać w Boże narodzenie „Pasterki". Pod waszem okiem Kościół św. Agnieszki jest w posiadaniu żydowskiem. Pod waszem okiem gra Teatr „Bagatela" najpornograficzniejsze cochonneries a młodzież gimnazjalna czyta ohydy w waszym „Bocianie". W anti-nacjonalistycznym Krakowie rzucają się żydy w sądzie na sędziów z pięściami, a w biały dzien morduje się ułanów. Pod waszym okiem powstają klubiki kokainowe, a pensjonarki krakowskie tańczą shimmy na „Czerwony Krzyż" czy na św. Wincentego a Paulo!"

Nacjonalistami panie Potocki byli księża wielkopolscy, górnoślązcy i pomorscy, nacjonalistami księża z kresów wschodnich. Przeczytajno tam sobie jegomość, co o takich pisał Artur Górski, jeno się wprzódy dowiedz, kto on zacz:

„Dzięki wpływom tych ludzi o charakterze przeważnie prawym, dzięki ich kierownictwu sumieniami, ich religijnemu przewodnictwu w ścianach wiejskich kościołów polskich, gdzie pieśń jednoczyła zebranych, gdzie uczucia wdzięczności wobec Bóstwa ujęte były w rytm do-

rocznych obrzędów, dzięki tej długiej codziennej pracy wieków lud nasz przeszedł przez taką szkołę instynktów, że, aby pojąć moralną wartość jego typu, dość go porównać z ludem ukraińskim lub rosyjskim. Zasługa w tem niemała polskiego księdza".

„Nacjonalistą" był ksiądz Skorupka i ksiądz Lutosławski. Z pańskim katolicyzmem razem nie godzieneś rozwiązać im rzemyka u trzewika. To była wiara i walka o wiarę, o ideał. Pański katolicyzm salonowy z Bourgeta jest arystokratyczny rekwizyt i akcessorja. Cmok monsignora we fiolety, i złoty ołtarzyk w ślicznej oprawie z kości słoniowej. Znamy takich z Caillaveta i de Flersa i z de Curela i marzymy, żeby nasz Weyssenhoff jeszcze wasz kabotynizm raz w powieści opisał i dał literaturze takiego sui generis Podfilipskiego z Pieczary Stańczykowskiej, amatora na Papieskie szambelaństwo. Gdyby katolicyzm w Polsce miał takich tylko pałacowych męczenników i salonowych apostołów jak hrabia z Rynku, toby była idąca właśnie z Krakowa propaganda amerykańskich Hodurasów, Tomaszkiewiczów, Kusinów i innych Ptaszków z „Polski Odrodzonej", propaganda metodystów, adwentystów, baptystów „badaczy" z Krakowa rozsypała się jak z puszki Pandory na całą Polskę (remember rewelacje p. Adama Konopki i K. Bartoszewicza).

Na szczęście tak nie jest. Na szczęście jeszcze po plebaniach, po parafiach, po najmniejszych miasteczkach, wsiach, siołach są dzielnymi narodowcami (nie „nacjonalistami" chere comte) duszpasterze nasi. I narodowcami zostaną z najgłębszego przekonania, z powołania, z instynktu, z głosu krwi. I zostaną opoką i ostoją rasowo tradycjonalistycznej katolickiej Polski, odczuwając najgłębiej, że wszelka propaganda antinarodowa w naszych warunkach przy tym procencie żydów, meteków i mechesów jest walką ze samą Polską i ze samym Chrystjanizmem. To odczuwa, to wie, w to wierzy całe omal polskie duchowieństwo choć z tego właśnie nie zdają sobie sprawy monsignory kosmopolityzujące, kurlandzkie brodate barony we fioletach, paczulowe dewotki od Świętej Barbary, comtessy od Św. Wincentego a Paulo i Peczerski pan Potocki, lumen de coelo „oświeconego kohnserwatyzmu", a raczej konserwilizmu krakauerskiego.

W każdym jednak razie graf François paszkwil na narodowy obóz w Polsce napisał. Napisał po francuzku. Z „Les Lettres" przedrukowała to „La Documentation Catholique", przedrukował „Le Croix", przetłomaczyły to już zapewne pospiesznie katolickie pisma bawarskie, angielskie, amerykańskie, włoskie, belgijskie, czeskie, hiszpańskie. I czytał już zapewne nienawidzący nas gość z czasów okkupacji, monachijski kardynał Faulhaber, antynacjonalista na eksport, a Niemiec w domu in Germany. I czytali sobie ten paszkwil na drapieżny pruski nacjonalizm (recte imperializm) polski znowu wysocy dostojnicy kościelni w Canterbury i w Kanadzie i kardynałowie amerykańscy i pewni filogermanie w Watykanie. I znów dostali w ręce wrogowie Polski nową garść argumentów przeciw

mocarstwowej i „mniejszości swe narodowe gniotącej", moralnie sprusaczonej, heretyckiej w swym szowiniźmie Polsce.

Źle więc i nieopatrznie postąpił sobie hrabia Potocki. Równie źle i szkodliwie jak ten z Łańcuta, tamten z Sieniawy, tamten z Krzeszowic. Niektórzy Potoccy mało polscy szkodzą Potockim z innych dzielnic, psują dobrą renomę rodu i całą polską warstwę historyczną na szwank narażają.

To trzeba ekspiować.

Protegowanie i propagowanie „Czasu" samo nie wystarczy.

Dlatego proponujemy małopolskim Potockim rzecz następującą:

Jest w Krakowie na Stradomiu, przy ulicy Dietlowskiej numerus 36, stara, bardzo stara rudera. Sięga roku 966 i Mieszkowych czasów. Klasztor Bernardynów, Kościół świętej Agnieszki.

Kościół ten jest w posiadaniu żydowskiem. To jest dla Krakowa symboliczne. Co tydzień jeden dom w małym „Rzymie" przechodzi w ręce żydów, (już przeszło 70% nieruchomości w śródmieściu). Co tydzień. Dzikie nacjonalisty robią z tego trywialny rejwach domagając się „sprzeciwiania się złu" i niesprzedawania Aszkenazjatom realności. Ale to są barbarzyńcy, mordercy Narutowicza, moskalofile, panslawiści, warchoły z epoki saskiej. Na to żeby wszystkie domy w Krakowie nie przeszły w ręce żydowskie nic się już nie poradzi. Laissez faire, laissez passer. Apres nous le deluge!

Ale kościół z X wieku, którego fasadę znać jeszcze i z ulicy, może jednak z rąk żydowskich wykupićby „wypadało"? Ostatecznie to przecież „mały Rzym" i nowe Ateny równocześnie. Zresztą w całej Polsce jeszcze w żadnym mieście żydy kościoła nie wykupiły, tylko w „małym Rzymie", tylko w niezdobytej twierdzy antynacjonalizmu.

Otóż funduszów na wykupienie kościoła św. Agnieszki ciągle brak. Zbierają w Krakowie i zbierają ale jakoś jak zwykle dozbierać nie mogą a Królewiaki i warszawisty z domowem wykształceniem jakoś nie dają, czy nie wiedzą o tem.

I choć „Czas" nie nagli ale kościołek i klasztorek z 966 roku jak był w rękach żydowskich tak i jest.

Otóż panowie Potoccy małopolscy z Sieniawy, z Łańcuta, z Krzeszowic, a nawet z dalekiej Peczary! Apelujemy do Was! Hrabia Franciszek tak pięknie pisze i w „Czasie" i w „Les Lettres" o katolicyzmie i nacjonalizmie. Nacjonalizm potępia, katolicyzm proteguje, niech mu Bóg da zdrowie. Ale „Czas" to pieniądz, szybko toczy się i mija, a kościołek św. Agnieszki jak był tak i jest w rękach żydowskich. Jak w Sieniawie w kaplicy zamkowej Muskatenbluty zrobiły gnojowisko tak tu w refektarzu i celach Bernardyńskich gnieżdżą się jakieś małe Halberstady i przyszłe Taubenszlagi czy Haeckery.

Czas temu położyć kres.

Poco to jeździć do Sudanu, poco to noce trawić na pokerze? No i poco szkalować nas przed predestynowanymi naszymi przyjaciółmi t. j. przed tymi wszystkimi na globie, co są wyznania rzymskiego? i dawać na nas argumenty kardynałowi monachijskiemu, chicagoskiemu i Canterburyjskiemu.

Lepiej się opamiętać!

Bis dat qui cicho dat.

Czekamy hrabio z „Czasu". *A. Nowaczyński.*

RODAK MUSSOLINIEGO DUSZĄ KONSTYTUCJI 3 MAJA.

(z relacji Ks. prof. Fortunata Gianniniego o „abatem florenckim").

„... Po różnych podróżach, w czasie których Piattoli był przewodnikiem swego ucznia i księcia Adama Czartoryskiego, który został także jego uczniem, los zagnał go do Warszawy (1789 r.).

Stanisław August, który miał prawdziwą słabość do Włochów (nie dlatego oczywiście, że jak niemądrze zapewnia Daugnon w „Gli Italiani in Polonia", tom I, str. 281, czuł się sam pochodzenia włoskiego"), przyjął „abate" florentyjskiego z wielką serdecznością i zamianował go najpierw swoim lektorem, a następnie sekretarzem. Bliskie sąsiedztwo uczonego eks-Pijara i jego ujmujące maniery sprawiły, że Stanisław August nie powziął żadnej decyzji bez poprzedniej narady z „abate" Piattoli.

Korespondencja Piattolego z Filippem Mazzei (patrz jego „Memorie", Lugano 1846) i z innymi dyplomatami, rezydującymi w Polsce, wskazuje jasno, *że był on duszą Konstytucji Trzeciego Maja* (patrz Adama Czartoryskiego „Wspomnienia", Paryż, Plon, 1881, tom I).

Kiedy Warszawa wpadła w ręce Rosji, Piattoli znajdował się z jakąś misją w Dreznie i stąd udał się do Austrji, lecz został 3 lipca 1794 roku aresztowany w Karlsbadzie i przewieziony do Josefsztadu, gdzie w więzieniu przebył, nie znając powodów, przeszło sześć lat".

PRUSAK O KONSTYTUCJI 3 MAJA.

(Minister Fryderyka Wilhelma von Hertzberg w liście do Lucchesiniego) (nieznane).

„Les Polonais viennant de donner le coup de grace a la monarchie prussienne en rendant la royaume hereditaire et en se donnant une constitution, qui vaut mieux que celle d'Angleterre"[1]).

---

[1]) Dostajemy od czasu do czasu listy i kartki od czytelników z uwagami i propozycjami aby cytaty z obcych języków dawać w tłomaczeniu polskiem.

Po dłuższym namyśle zdecydowaliśmy się na propozycje te odpowiedzieć odmownie.

Nie tylko nie będziemy dawali polskich tłomaczeń cytat, ale bę-

JOACHIM LELEWEL O KONSTYTUCJI 3 MAJA.

„Pisana Konstytucja 3 Maja dla Stanów nie dostateczna jest... nic nie warta... Głupi byłby albo szarlatan coby myślał o przywróceniu Konstytucji 3 Maja do jej rzeczywistego bytu“.

TRZECI MAJA.

(Stanisława hr. Tarnowskiego z Krakowa „Z doświadczeń i rozmyślań”. Rok 1893).

„Jak tylko rozrzucane odezwy były znakiem i dowodem, że pod zamierzony (w Warszawie) obchód 3 Maja podszywa się organizacyjna robota tak zwanych rządów narodowych i propaganda socjalistyczna, jak tylko stało się wiadomem, że te dwie dążności tak zwanych rządów narodowych chcą i Warszawie narzucić swoje rozkazy, należało sprzeciwić im się stanowczo. Zrobiliśmy to w jednej części.., *Zasłaniać Warszawę o ile możemy od polityki rządów narodowych* to dobrze, ale to nie wszystko. Trzeba jeszcze i na to nie pozwolić, temu przeszkodzić, żeby ta polityka nie próbowała rządzić“...

„Zasłaniać Warszawę, i ile możemy, od polityki rządów narodowych”...

MAŁOPOLSCY TARNOWSCY.

Stanisław:

(odczyt o „Odzie do Młodzieży“ Mickiewicza w Warszawie r. 1882): „Mickiewicz źle karmił młodzież, w młodzieży i tak zbyt zapalnej potrawy jego mogły sprawić większe zapalenie, a zwłaszcza w Warszawie grzeszącej nadmiarem uczuć“.

Zdzisław:

(mowa na zjeździe Prawicy Narodowej w Krakowie 27.4. 1922): „Rosja i Niemcy upadły. Nie ma żadnych widoków,

---

dziemy cytaty angielskie, francuskie, niemieckie i czeskie zamieszczali w zwiększonej ilości. Nie naumyślnie ale rozmyślnie, z tendencją i premedytacją.

Czytelnicy nasi jak i rodacy, „obywatele“ (jak pisze szajgec Wasserzug czy Wasserkopf) muszą koniecznie uczyć się i to na gwałt obcych języków! Nasze żydy uczą się dniami i nocami, na wyścigi. Objaśniano nas, że obecnie dobre 20.000—25.000 młodzieży żydowskiej obojga płci w samej Warszawie uczy się angielskiego! Na ulicach, w kintopach, w kawiarniach, w Saksonskim Sadzie małe, pokraczne, karłowate sziksy t. z. „fantazje” ze sklepów charkoczą niby po francusku. W „Rżemianskiej“ pono młode szajgece i Stieglitze obserwujące i adorujące stoliki ze skamandrylami i wieniawitzami na głos czasem szpikują englisz. Całe to paskudzctwo tak się przygotowuje aby wnet zalać wszystkie ministerstwa, ambasady, poselstwa, sztaby jak się tylko uda im z pomocą krakauerów wygryźć zewsząd tych endeków przeklętych.

Trzeba się więc uczyć obcych języków obywatele! na gwałt, dniami i nocami! Szczególnie młodzież, oficerowie, dziennikarze, literaty.

Cytat zatem w „Myśli Narodowej” tłomaczyć się na polskie jakiś czas t. j. przez pierwsze 10 lat nie będzie. Ci co się tem denerwują i irytują, niech sobie sprawiają słowniki, niech się zapisują do Berlitza, niech biorą sobie bony, angielki, szwajcarki, bawarki, włoszki co łaska, i co prędzej. (*A. N.*).

aby na któremkolwiek z tych państw można szukać w bliskiej przyszłości stałego oparcia".

Jan Amor

(„Czas" ze środy 16 kwietnia 1924 „Genjalna Polityka"):

„Polityka p. Dmowskiego polegała na tem, że dla łatwiejszego odbudowania Polski opierał się na Rosji potężnej, jak najpotężniejszej i której siły, jego zdaniem, jeszcze „wzmagać" trzeba było (sic!). Ale ponieważ potęga Rosji i odbudowanie Polski były to rzeczy, jak wiadomo, wprost sobie przeciwne, wzajemne się wykluczające, przeto dla uzyskania jednej z nich należało z drugiej kwitować. P. Dmowski wybrał potęgę Rosji, w myśli, że ją opanuje i skruszy — i na takiej podstawie odbuduje Polskę. Pomysł to nielada i nazwać go można neo-wallenrodyzmem, polegającym na wzmacnianiu wroga, ażeby, wzniósłszy swem staraniem jego siły do najwyższej potęgi, strącić go z tej wysokości w tę większą przepaść.

Znajomość tej zasady wytłomaczy całą politykę zagraniczną pana Dmowskiego, którą przejęła od niego narodowa demokracja. Tę politykę cechuje nadzwyczajna ustępliwość na rzecz wrogów Polski, aby, wzmacniając ich, ułatwić następnie ich rozgromienie. W ten sam sposób wytłomaczyć można niezrozumiałe inaczej dążenie tego stronnictwa i jego szefa do pomniejszenia Polski przez jej obcinanie ze wszystkich stron nożem etnograficznym.

I t. p. i t. d." *)

IBUŚ EHRENBERG.

(Charakterystyka pierwszego polskiego publicysty ultra-radykalnego i protoplasty ideowego „Kurjera Porannego" pióra prof. J. Kallenbacha w pracy o Z. Krasińskim).

W sierpniu 1833 r. ukazał się w Paryżu wśród emigracji prospekt na pismo „Nowa Polska"; wychodziło ono już w czasie rewolucji w Warszawie, a w Paryżu wznowione zostało przez redaktora, słynnego J. B. Ostrowskiego, *najczerwieńszego z czerwonych*, który potem bardzo licho zakończył swą działalność społeczną, jako denuncjant na usługach policji paryskiej. Otóż w tym prospekcie „Nowej Polski mógł Krasiński taką czytać zapowiedź:

„Wolność ludzkiego ducha, zupełne usamowolnienie myśli i ludzkich towarzystw, powstanie przeciw przeszłości, powszechne przekształcenie Europy, nowy kierunek ludzkiej wiedzy, wzniesienie jednej i ogólnej syntezy myślenia, nowa wiara, nowa ludzkość, nowa jej przyszłość: ten jest symbol „Nowej Polski".

---

*) Żabka, która podstawia znów łapkę, gdzie podkuwają Centaury, nie jest rodem z Galicji, ale niedawno w Krakowie osiadłszy szybko się zaakomodowała i przyassymilowała i w bajorze podwawelskiej już tak skrzeczy jako one inne „tutejsze". Bidula czyta i czyta, kształci się i kształci, zasypia z Lichnowskym w prawej, a Windischgraetza „Pamiętnikami" w lewej ręce. W nocy się panu Janowi śnią Sazonow i Wilson, Dardanelle i doktryna Monroego, a często bywa, że endecka zmora siada mu na kołdrze i dusi i dusi, aż nasz Jenialkiewicz jęczy i stęka. W Beaupreku zakochany, jak szesnastoletnia pensjonarka, a Haeckerla by uściskał, kiedy na Dmowszczyków kopytami wierzga. Jakiś czas już do „Czasu" Bidulski nie pisywał, bo od Stasia paternoster dostał za epistołę olbrzymią do „Myśli Narodowej" i pertraktacje z paszkwilistami. Teraz znów się ocknął i Pegaza dosiadł i znów pisze dniami i nocami broszur szereg: „Endecy w Polsce a dżuma w Indjach", „Konszachty Dmowskiego z Ludendorfem", „Nacjonalizm a atretyzm", „Komitet Narodowy na żołdzie Masonów", „Jak przenieść stolicę do Krakowa?" „Gaffy i felery traktatu Wersalskiego", „Gabinet Nowaka a nowa Europa", „Mac Mahon a Mac Donald", „Moje rozmowy telefoniczne z Kemal-Paszą, Carpentierem i ciotką Arystydesa Brianda".

W Krakowie cieszą się już w „Czasie" na te rewelacyjne publikacje, które zaćmią Warszawę i dobiją wreszcie do reszty niedobitki Komitetu Narodowego.

Pismo to nie zawiodło nawet najśmielszych oczekiwań; wywodziło ono konsekwentnie wszelką własność z rabunku, twierdząc: *„iest pewna, że dziś wielki posiadacz ziemi, że książe, że hrabia, że pan, że szlachcic obszerne posiadający włości, jest dziedzicem rabunku, posiada przez wojnę, iest synem szczęśliwego wojownika...*

„Nowa Polska“ zapowiadała dosłownie, że „nadchodzi sąd ostateczny”, świta dzień naprawienia historycznych zbrodni. *Ujarzmieni, złupieni, ciemiężeni niewolnicy, nie mający nic, powstają przeciw dziedzicom rozboju...* Społeczeństwo („towarzystwo“) najazdów i wojny jest rozwiązane i niewolnicy są usamowolnieni; człowiek uznał swoją godność: uznał, że jest równy dziedzicom swoich zwycięzców, że *ziemia powinna być wspólna i wolna*, że przeto społeczeństwo swoim początkiem niesprawiedliwe, *musi być zniszczone*, że przez zniszczenie nadużyć zajaśnieje nowy wiek ludzkości, odrodzenie, naprawienie.

Używaliście — ustąpcie! wrócił prawdziwy właściciel; społeczeństwo usamowolnione samo chce siebie urządzić“· (N. P. 1833, str. 114).

Tak pisał reformator społeczeństwa, polski Pankracy nad Sekwaną, a niebawem w arcydziele Krasińskiego powtórzy dosłownie wobec hr. Henryka: „Zgrzybiali, robaczywi, pełni napoju i jadła, ustąpcie młodym, zgłodniałym i silnym!“ Nie mogło zatem być wątpliwości dla 20-letniego autora Nieboskiej. Komunizm przemówił nie tylko teoretycznie z francuskich, liońskich i genewskich zebrań, propagatorskich i prowokujących, ale odezwał się jasno i praktycznie — po polsku — z łamów „Nowej Polski”. Kiedy redaktorowi tego pisma zarzucano, że doktryny swej nie sformułował dokładnie, stwierdził on na str. 144, że pismo „Nowa Polska” *chce zupełnie nowej Polski pod względem naukowego, umysłowego, politycznego i religijnego przeobrażenia.* Musi nastąpić nowa kreacja: wszystkie kamienie starej budowy odrzucone. Zstąpi na ziemię Jeruzalem Apokalipsy”...

Z przeszłości Polski nic się nie nadawało, zdaniem „Nowej Polski“, do odbudowy: „wszystko, co za nami, jest przeszłością bezsilną, umarłą”.

„Nowa Polska“ gardziła nawet konstytucją Trzeciego Maja, *skoro ta zatwierdzała przywłaszczenie ziemi i ujarzmienie ludu*, uświęcając starodawne panowanie szlachty nad ludem. Dosłownie urągała „Nowa Polska” konstytucji trzeciego maja w tych słowach: „Ten szpargał nie zaprowadził ani jednej, zbawiennej, bądź społecznej, bądź politycznej zmiany, nic nie ulepszył... [1]). Czy chcielibyście na tronie światłości *usadowić straszny szkielet starej Polski?“* (str. 147). Aby nie pozostawić wątpliwości, co do stanowiska swego wobec katolicyzmu, „Nowa Polska” oświadczyła, że „przez zasadę katolicyzmu rozumie nie kościół rzymsko-katolicki, ale tylko umiejętny, filozoficzny system katolicyzmu który wszystkie europejskie ludy chciał zamienić na jedno społeczeństwo, na jedną ludzkość, jako pięknie mówił Tertullian o chrześcijanach: unam rempublicam agnoscimus: mundum”!

Krasiński miał zatem całkiem realne tworzywo w budowaniu artystycznej wizji nowego przyszłego społeczeństwa, miał się na czem oprzeć, miał z czego czerpać”.

„INWIGILACJA” WIDEŃSKA.

W wiedeńskiem piśmie „Neues-Wiener Journal” z 13 kwietnia 1924 r., Nr. 10.920, Niedziela, pagina 7 zamieszczono artykuł znanego wiedeńskiego wydawcy i dziennikarza dr. Juljusza Szepsa p. t.:

Geheim-Auskunftei über Minister (Wie sich Goluchowski und Thun gegenseitig überwachten?).

Artykulik jest interesujący. Rozpowiada o t. zw. „schwarze Kabinett” t. j. instytucji oberszpicloskiej w Wiedniu t. zw. „Informationsbureau”, dostarczającym dworowi, dynastji, ministerstwu spraw zagranicznych tajnych informacyj o wszystkiem i wszystkich. Za premjerostwa Thuna, a kiedy ministrem spraw zagranicznych i dworu był Gołuchowski, kierował tem szef sekcji Wohlfahrt.

---

[1]) patrz pogląd J. Lelewela na Konstytucję 3 Maja.

Otóż wówczas szefem biura prasowego prezydjum rady ministrów był nasz miły hofrath dr. Ignacy Rosner. Ustęp z reminescencji Szepsa tyczący się p. J. Rosnera jest tej treści (wörtlich—dosłownie).

„Hrabia Thun i hrabia Gołuchowski nie byli ze sobą w dobrej komitywie i żywili do sobie wielką nieufność. Austrjacki prezydent ministrów podejrzywał hr. Gołuchowskiego, że tenże za pośrednictwem szefa sekcji barona Doczi, sławnego poety i szefa biura literackiego w M. S. Z. zprzysiągł się z rządem węgierskim na obalenie austrjackiego gabinetu. Baron Doczi z którym byłem w przyjacielskich stosunkach był skutkiem tego objektem bardzo starannej obserwacji ze strony „biura informacyjnego". Pewnego dnia przed południem na wiosnę r. 1899 znalazłem się z baronem Doczi w kawarni Puchera na Kohlmarkcie. Nawiązała się między nami ożywiona dysputa polityczna w trakcie której baron Doczi poddał surowej krytyce działalność barona Thuna, podczas gdy ja starałem się usprawiedliwiać stanowisko austrjackiego premjera. W czterdzieści osiem godzin później odwiedziłem ówczesnego szefa prezydjalnego biura prasowego, hofratha dr. Ignacego Rosnera, jednego z najzdolniejszych wyższych urzędników który był też wybitnym publicystą, a który teraz w Warszawie uznany jest za najpierwszorzędniejszego dziennikarza w Polsce. Z tym znakomitym człowiekiem łączyła mnie serdeczna przyjaźń. Otóż kiedy tego dnia jestem u niego, ten odzywa się do mnie: „No przedwczoraj trzymał się pan bardzo dzielnie, czego nie możnaby powiedzieć o baronie Doczim. Zdumiony pytam się coby to miało znaczyć, ale moje zdziwienie zmieniło się w osłupienie, kiedy dr. Rosner przeczytał mi teraz z aktu całą rozmowę moją, którą miałem u Puchera z Doczim *omal dosłownie*.. Okazało się, że kelner w tej kawarni, gdzie stale bywali i schodzili się członkowie Koła Polskiego, był na służbie „Biura wywiadowczego" i że on złożył do urzędu sprawozdanie z me rozmowy z Doczim, którą podsłuchiwał. Wtedy pierwszy raz dowiedziałem się o egzystencji tej instytucji".

Wystarczy. Tyle dr. Juljusz Szeps.

Inwigilacja wielkich przez wielkich nie jest tedy specjalnością rosyjską po „Moskalach", ale miała miejsce we Widniu także.

Okazuje się dalej, że dr. Ign. Rosner był wonczas po stronie Thuna a przeciw „rodakowi" Gołuchowskiemu. To dwa.

A teraz trzecie. Najciekawsze. I to powinno bardzo zainteresować i szerszy ogół. Pytanie:

Czy pan hofrath dr. Ignacy Rosner uprzedził członków wiedeńskiego Koła Polskiego między rokiem 1899 a 1914 i dalej, że w kawiarni Puchera na Kohlmarkcie są podsłuchiwani przez kelnerów, będących na żołdzie wiedeńskiej ochrany? Jeżeli uprzedził, to jest gentlemanem. (*A. N.*).

GENIUS LOCI (DUCH „CZASU").

Michała Bobrzyńskiego: „Dzieje Polski w Zarysie". R. 1882

„Polska, wskutek swego wewnętrznego rozstroju, niezawisłość swoją musi bądź co bądź utracić wkrótce, lepiej więc, żeby zrzekła się jej dobrowolnie, a raczej uznała swoją faktycznie już istniejącą od Rosji zawisłość, ażeby zato weszła w skład Rosji cała, niepodzielna, z rządem silnym, autonomicznym, zbudowanym po zgwałceniu anarchji z pomocą Rosji (str. 436)".

PRO GALICIA.

„AUDIATUR ET ALTERA PARS".

Kiedy w Krakowie rozpoczęto nagonkę na „warszawistów z domowem wykształceniem" wystąpiłem publicznie, aby wykazać wszystkie wartości rdzennej Warszawy i przez to ową nagonkę ukrócić.

Nabyłem prawa do powiedzenia słów prawdy także i warszawianom, którzy prowadzą w dziennikach, a jeszcze więcej po cichu, nieustanną walkę przeciw „galileuszom".

W dzisiejszym gabinecie niema ani jednego galicjanina. Nie byłoby to ani złe ani dobre, gdyby niektórzy panowie ministrowie nie zabrali się do czyszczenia swoich biur od galicjan, nie dlatego, że są nieudolnymi urzędnikami, lecz tylko dlatego, że pochodzą z Galicji. Bo można wiele rzeczy nie rozumieć, ale chyba najzapieklejszy patrjota lokalny z Góry Kalwarji zrozumie, że zastąpienie urzędnika, który pracuje przez 15 lub 20 lat w skarbowości przez prowizora aptekarskiego lub dysponenta ze sklepu konfekcji damskiej, nie jest wymianą nieudolności na fachowość. A za tym prądem z góry idzie nacisk u dołu. Robią się intrygi, zmowy, podejścia, segregowania, bo łowcy „bajecznych karjer” chcą wygryźć tych, którzy im przeszkadzają na szczeblach drabiny urzędniczej. Atmosfera staje się nieznośną. Ze strony „tutejszych”, kiedy im ani wykształcenie, ani praktyka i biegłość, ani nawet partyjna protekcja nie mogą zastąpić zdatności, wyplenianie galicyjskości staje się ostatnim, najczęściej skutecznym sposobem do osiągnięcia karjery.

Tymczasem Warszawa i jej centralne władze nie są lokalną własnością ani Mazowsza, ani nawet zaboru rosyjskiego. To jest stolica państwa, w której wszyscy obywatele od Dzisny po Jabłonków Cieszyński i od Pucka po Śniatyń mają równe prawa. Przydatność, a nie pochodzenie powinny rozstrzygać o tem, kto się dostanie do władz stołecznych.

Tymczasem ta nagonka trwa.

Ta nagonka boli mnie nietylko jako Polaka, ale przedewszystkiem jako galicjanina. Myśmy nigdy tak nie postępowali. Dzieckiem jeszcze zapamiętałem, że wyższe stanowiska w Wydziale Krajowym, jako też wiele stanowisk średnich w Radach powiatowych, były zajęte przez Królewiaków w Galicji. Przychodził taki pan, twierdził, że jest powstańcem i wygnańcem i natychmiast dostawał miejsce w autonomji krajowej, powiatowej i miejskiej. Nie wszyscy nadawali się do urzędu, nie wszyscy pracowali sumiennie, a nie przypominam sobie ani razu, żeby ktokolwiek z Polaków galicyjskich żachnął się kiedykolwiek na to uprzątanie z przed nosa najsmaczniejszych kąsków chleba tubylcom przez przybyszów. A było to tem trudniejsze, że Galicja produkowała nadmiar inteligencji i nie posiadała dosyć stanowisk dla swoich dzieci. I taki był umiar, taki patrjotyzm ogólnopolski, że wszyscy przyznawali pierwszeństwo królewiakom w ubieganiu się o posady.

Byłem w gimnazjum, kiedy Bismarck przeprowadził znane rugi. 18 tysięcy ludzi przybyło do Galicji i spotkali się z nadzwyczajną gocinnością. Pamiętam, jak w Jarosławiu młodzież, inteligencja, mieszczaństwo porzucili swoich dotychczasowych dostawców: krawców, szewców i t. d. a przenieśli swoje zamówienia do przybyszów, chociaż ci bynajmniej nie odznaczali się większą doskonałością roboty. Porzuceni rzemieślnicy nawet żalić się nie mieli ochoty, bo tak było naturalne okazywanie życzliwości i pomocy „rodakom prześladowanym”.

Czytałem w jakiemś warszawskiem piśmie wspomnienia z podróży, jeżeli się nie mylę, p. A. Langiego, który opowiadał o brukach, szosach, wieżach, kanałach Poznańskiego, następnie o kominach, dymach, kopalniach Zagłębia Kongresówki, wreszcie w Galicji, na stacji Trzebinia zauważył tylko dzieci, biegające przed pociągiem z krzykiem:

— Świeża woda.

I to spostrzeżenie zaopatrzył w uwagę, nietyle prawdziwą, ile złośliwą, że przecież i Galicja ma swój przemysł rodzimy. A przecież już podówczas w tejże samej Trzebini sterczał las kominów fabrycznych i puszczał nie mniej dymu niż w Będzinie, przecież już wtenczas w Białej pracowała zgórą setka fabryk tkackich, w Węgierskiej Górce odlewnia żelaza, na Grzegórzkach, Zakrzówku, Ludwinowie, Płaszowie i t. d. dookoła Krakowa warczały rozliczne fabryki, w Limanowej już pracowała największa podówczas w Europie rafinerja nafty, Schodnica, Borysław, Słoboda rungurska i t. d. pokryte były lasem wież wiertniczych, były saliny i kopalnia kainitu i t. d., i t. d. I przejeżdżając ko-

leją powinien był zauważyć, że Soła, Skawa, Raba, Uszwica, Dunajec, Wisłok, Wisłoka, San i t. d. są już ujęte w tamy i uregulowane, że szos jest siedem razy więcej niż w Kongresówce, że po wsiach z wagonu widać duże budynki murowane: szkoły. Jeżeli piękno krajobrazu w tej najbogaciej uposażonej pod tym względem części Polski nie przemawiało do uprzedzonych, to powinien był zauważyć, że nawet małe mieściny mają tam bruki i trotuary z płyt, że poza Krakowem i Lwowem już Tarnów, Jasło, Rzeszów, Jarosław, Przemyśl, Stanisławów, Kołomyja, Złoczów, Tarnopol mają kanalizację i oświetlenie gazowe albo elektryczne.

To było parti pris, uprzedzenie z góry. Temu uprzedzeniu opiera się tak mało, że trzeba je uważać za powszechne. I znowu zestawienie: W Ciechocinku czy w Busku pełno jest żydowstwa w sezonie i królewiak uważa, że wszystko jest w porządku. Za to, gdy zwiedzi Zakopane, Krynicę, Truskawiec, nie wyczerpie przez całą zimę złorzeczeń na zażydzenie tych uzdrowisk, jako na specyficznie galicyjską plagę. Czy to nie jest uprzedzenie? Przyjaciele wyjmijcie belkę z oczu waszych, a potem zabierzcie się do szukania źdźbła w oku galicyjskiem.

W Galicji nie tylko nie było tych uprzedzeń, ale było wręcz przeciwnie. Ściągano, zapraszano Polaków z innych dzielnic i ustępowano im miejsca. Uważaliśmy to za tak naturalne, że dziś mogę zaledwie setną część przykładów przytoczyć, bo z tego punktu widzenia nigdy na ludzi nie patrzyłem. Na profesury uniwersyteckie ściągano wielkopolan, jak Małecki, Rydygier, Wicherkiewicz, Kawczyński (obecnie Kasprowicz), królewiaków: jak Baudouin de Courtenay, Zdziechowski Marjan, W. Lutosławski, St. Grabski i t. d., bez względu na ich zapatrywania polityczne, jak wskazują same nazwiska, byleby tylko czemkolwiek zaznaczyli się między innymi. A chyba Galicja, okrzyczana jako kraj doktorów różnych fakultetów, nie była w kłopocie o obsadzenie katedry swoim „tutejszym". Całe Studjum rolnicze w Krakowie, Akademja dublańska i t. d. były zajęte prawie bez wyjątku przez niegalicjan.

A działo się to nietylko w nauce. Nawet w życiu parlamentarnem i ściśle urzędniczem Polak z pod Prusaka czy z pod Moskala miał pierwszeństwo. Konserwatyści dawali mandat poselski Chamcowi z Kijowa, a socjaliści Regerowi z Nowego Jorku, czy dr. Kunickiemu z Tyflisu. Wielkopolanin Korytowski był prezydentem Krajowej Dyrekcji Skarbu, ministrem, namiestnikiem z ramienia całego przedstawicielstwa Galicji.

W tym kraju ludzi z „uniwersyteckiem wykształceniem" nie spotkałem się ani razu z wymówką, że „obcy" zabierają chleb „tutejszym". A walka o chleb była bardzo ciężka. Ale od czasu zaprowadzenia Konstytucji tak przywykliśmy do uważania swojego kraju za polski Piemont, za własność całej Polski, że mimo konkurencji dla siebie samych ściągaliśmy ludzi z innych dzielnic do siebie. A dziś odmawia się nam prawa do życia w domu, który jest także i naszym domem, gdzie przychodzimy nie jako przybysze lecz jako współwłaściciele.

A ci przybysze nie zawsze byli wygodni. W czasie strajku szkolnego zwaliła się na Galicję ćma młodzieńców w mundurach rosyjskich z rzemieniem na brzuchu i z ohydnym talerzem zamiast czapki, zaopatrzonym w daszek kroju rogu z kopyta końskiego. Ustąpiliśmy im wszystkiego, nawet pierwszeństwa przy pannach, ale nie mogliśmy od nich uzyskać tego jednego ustępstwa, żeby skórę rosyjską zrzucili. Bronili tej rosyjskiej liberji jak świętości i cały kąt od Krakowa do Tatr wyglądał długo jak stanica rosyjska. Ależ bo oni przyjechali także i po to, ażeby koniecznie pokazać swoją wyższość i w braku innych danych, używali do tego rosyjskiego munduru. I krytykowali wszystko.

Po pięciu latach nagonki ze strony „tutejszych" po raz pierwszy odzywa się od galicjan głos gorzki choć prawdziwy. To chyba także świadczy o cierpliwości i o umiarze tych szczutych ludzi.

I za co ich się szczuje? Mowi się, że są to galicyjscy biurokraci i za nasz rodzimy biurokratyzm czyni się odpowiedzialnymi galicjan. Niech fakta mówią, fakta brane od ręki.

Jest w Tarnopolu budynek szpitalu wojskowego. Przed wojną prowadził ten szpital i leczył w nim lekarz kap. Stobiecki, mając do pomocy tylko dwóch podoficerów i kilku pielęgniarzy. Dziś ten sam lekarz jest dyrektorem tego samego szpitala, ma do pomocy jednego czy dwóch lekarzy, kilku oficerów i kilku żołnierzy, a chorych mniej niż przed wojną. I mówią tam, że chorych nocami tylko odwiedza, bo wszyscy ci lekarze, oficerowie i podoficerowie ciągle piszą, odpowiadają, wypełniają formularze, wykazy i t. d. Ten sam budynek i ten sam kierownik. Czy nie byłoby lepiej dla chorych i dla skarbu, żeby się było zatrzymało galicyjski biurokratyzm? Czy ta pisanina dzisiejsza może być słusznie nazwana galicyjską?

Biorę drugi przykład wojskowy. Przed wojną była w Złoczowie komenda dywizji. Był jenerał, adjutant i podoficer, a dwa pokoje przy mieszkaniu jenerała tworzyły biuro dywizji. Dziś komenda dywizji jest w Tarnopolu. Jest jenerał z adjutantem, kilku pułkowników, kilku majorów, kilkunastu innych oficerów i odpowiednia liczba żołnierzy. Zajmują cały duży gmach o kilkudziesięciu pokojach i wszyscy piszą, ciągle piszą. To jest nowość na gruncie galicyjskim, a więc nie jest galicyjskością. I wartoby przyjrzeć się pogardzanym galicyjskim wzorom z przed wojny, a z pewnością oszczędziłoby się wydatków i zmniejszyło plagę biurokratyczną.

Przejdźmy do innej dziedziny. Przed wojną był starosta, miał czterech urzędników, jednego praktykanta, pisarza i rządził powiatem tak, że w najodleglejszym krańcu jego rozkazy przychodziły ciągle i były ślepo natychmiast wykonywane. Dziś jest starosta, przy nim tuzin lub półtora tuzina urzędników, moc maszyn z pannami, służby, woźnych i t. d. Wszyscy razem nie wiedzą, co się dzieje w powiecie, a ludność powiatu nic sobie z nich nie robi. Wszyscy ci panowie dyktują i piszą a piszą. Lepiej było zostać przy galicyjskim systemie tak dla dobra skarbu jak i powagi władzy. Ale jest naprawdę nieznajomością rzeczy nazywać to właśnie systemem galicyjskim.

Na kolejach mieliśmy dwa razy mniej urzędników, a dziesięć razy więcej pociągów. Ale wtedy kolejarze wypełniali 26 formularzy, a dzisiaj wypełniają ich 360. Zamiast paczki druków, dostają wagon druków co miesiąc. Czy to ma być dlatego biurokratyzmem galicyjskim, że właśnie w Galicji nie był znany?

I tak wszędzie. W urzędach podatkowych było kilku urzędników, ale interesant znał tylko likwidatora i kasjera, przed którymi nigdy przez długie lata nie widziałem ścisku ani ogonków. Ludzie płacili zaraz po wejściu do biura i odbierali należytości bez czekania. Dlaczego to się dziś zepsuło? Gdyby w dzielnicy austrjackiej było się zatrzymało biurokratyzm galicyjski, a gdzieindziej go wprowadziło, nie bylibyśmy świadkami scen, jakie się rozgrywają w kasach skarbowych. I naprawdę zrozumieć trudno, dlaczego to zniesienie systemu galicyjskiego nazywa się galicyjskim biurokratyzmem?

Trzeba było przed wojną mieć wiele do czynienia z galicyjskimi urzędami, ażeby dziś nie dopuszczać się kłamstwa, twierdząc, że nasz dzisiejszy improwizowany biurokratyzm jest biurokratyzmem galicyjskim. Wręcz odwrotnie. I dobrzeby było, żeby nasza improwirowana biurokracja zechciała bliżej zbadać dawne galicyjskie metody urzędowania, bo mogłaby wiele się nauczyć i wiele skorzystać. Nie dlatego stawiam je wyżej, że były galicyjskie, lecz dlatego, że były wypróbowane, naprawiana i udoskonalane przez długie dziesiątki lat pokoju.

Wprawdzie u nas przeciwstawia się rutynie, praktyce, fachowości i doświadczeniu zawodowemu t. zw. „genialność", ale tu już jako zaśniedziały galicjanin, powiem, że brak wiedzy, doświadczenia, znajomości przedmiotu i wprawy nie jest u mnie genialnością. I za ten brak nie winię rodaków z innych dzielnic, bo to nie ich wina, tylko warunków w jakich żyli. Ale też niechże nikt tego braku nie przedstawia jako właśnie najwyższej zdatności.

Z inteligentów galicyjskich podrwiwa się dlatego, że są „doktorami" z „uniwersyteckiem wykształceniem". Więc w kraju, gdzie z ust nie schodzi frazes o misji kulturalnej na Wschodzie, o stanowisku placówki cywilizacyjnej, gruntowne, pełne wykształcenie ma być czemś hańbiącem i dyskwalifikującem? To ja mam się tego wstydzić, że na uniwersytecie wyczerpałem lingwistykę słowiańską, romańską, germańską i starożytną, że przebrnąłem dzieje powszechne, dzieje kilku literatur, dzieje sztuk pięknych, że z tego składałem egzamina, że uczyłem się 11 języków, a z tych dzisiaj jeszcze kilkoma władam w słowie i w piśmie? Nie puszę się tem, poraz pierwszy o tem mówię w życiu, ale wstydzić się tego nie czuję potrzeby. A chociaż dużo się uczyłem chociaż z tego dosyć zostało w pamięci, chociaż wiele lat przepędziłem zagranicą nie na próżnowaniu, chociaż przez 24 lat pracy społecznej nabyłem dosyć doświadczenia, chociaż nie w próżniaczy i nie w karjerowiczowski sposób posłuję już 18 rok bez przerwy, nie puszczam się jednak na gadanie o wszystkich kwestjach życia politycznego, społecznego i gospodarczego w sposób autorytatywny, jak to czyni wielu, którzy przez to, że zrozumieli artykuły „Kurjerków" o wszystkich kwestjach, są przekonani, że wszystkie te kwestje zgłębili.

A jeżeli chodzi o uspołecznienie inteligencji galicyjskiej, to zanim się o niem wyda sąd, wypadałoby pojechać do tej Galicji i popatrzeć. W każdej mieścinie jest gmach Sokoła, za „centusiowe" składki tej inteligencji wzniesiony. Jeżeli dziś w Założcach, Zbarażu, Skałacie Husiatynie, Zaleszczykach, każdy z panów „tutejszych" znajdzie salę na przedstawienie, konferencję, odczyt czy wiec, to jest ta zasługa tej właśnie pogardzanej inteligencji „doktorów". Jeżeli na Śląsku, Morawach, Bukowinie i Bośni założono i utrzymywano kilkanaście szkół średnich i kilkadziesiąą szkół powszechnych dla Polaków pod panowaniem niemieckiem, czeskiem, rumuńskiem, chorwackiem, to obok składek, zbieranych przez mec. Osuchowskiego z Warszawy, pewną część wydatków pokrywała ta inteligencja galicyjska. Jeżeli w 52 powiatach zruszczonych wystawiono półtorej setki polskich kościołów, setki szkół, burs, domów ludowych, założono i utrzymywano grube tysiące czytelń, to znowu tasama inteligencja składała „centusie" na kościoły częściowo, na wszystko inne wyłącznie i do ofiar dodawała wytrwałą, stateczną pracę osobistą za darmo. Panowie „tutejsi" rozważcie to, że pracowali, jeździli, przemawiali, zarządzali za darmo i do tej pracy dobrowolnej dopłacali jeszcze pod formą wkładek i ofiar!

Kiedy zaś przyszła inwazja ukraińska, to zgórą 2 tysiące tej inteligencji znalazło się w więzieniach i obozach koncentracyjnych w nędzy, głodzie, zimnie i zarazie, a cały ich dobytek został zrabowany. Pół tysiąca umarło na zarazę, kilka setek rozstrzelano, prawie wszyscy przeszli przez zakaźne choroby, a kiedy wrócili do ruin, nie pysznili się męczeństwem, nie taksowali cierpienia, nie ubiegali się o ordery i odznaczenia, któremi tak hojnie u nas szafowano, nie robili z tego żadnej nadzwyczajności.

I trzeba sobie powiedzieć, że gdyby nie inteligencja galicyjska, nie jej praca i ofiary, to Polska nie miałaby nietylko żadnego ludzkiego prawa, ale żadnego pozoru do roszczeń, żadnego pretekstu do żądania trzech wschodniopołudniowych województw. Jeżeli mamy Lwów, Tarnopol, Stanisławów i tam jesteśmy nietylko jako państwo, ale jako naród, to jest to wyłączna zasługa inteligencji galicyjskiej, tak świeckiej jak duchownej.

A jeżeli zarzuca się, że zaduży był wśród tej inteligencji odsetek austrofilów, to ja, jako okazowy przedstawiciel kierunku przeciwnego mogę wydać świadectwo, które powinno znaleźć wiarę. Było dużo przywiązania do Austrji, ale wypływało ono z uczuć polskich. Dlatego popierano Austrję, bo ona jedna „dawała" Polakom swobodę narodowego rozwoju, bo „sprzyjała" tworzeniu polskiego Piemontu, bo tam był jedyny zakątek, gdzie można było łudzić się, że się jest w wolnej Polsce, u siebie.

Ale kiedy wojna już się wyraźnie zarysowała na horyzoncie, całe szeregi tych austrofilów zaczęło poddawać rewizji swoje dotychczasowe uczucia, bo pragnęli Polsce służyć. I wtedy zjawili się niegalicjanie pp.: Piłsudski, Filipowicz, Sokolnicki, Sławek, L. Wasilewski, Jodko i t. d. ogłoszeni za bohaterów narodowych i ci postawili dogmat, że służenie wierne Austrji jest służbą dla Polski. Oni wynaleźli i argumenty i środki przymusu, oni ogłosili, że po za ich komisją tymczasową nie ma Polski, a poza austrofilami nie ma Polaków. Jak można potępiać wielu galicjan za to, że uwierzyli w hasła, do których od pół wieku nawykli, w których wyrośli, skoro ludzie z Austrją niczem niezwiązani, z szerokiego polskiego świata przychodzący, twierdzili z tupetem, iż austrofilstwo jest jedyną na świecie formą patrjotyzmu polskiego? Jeżeli ze strony tych przybyszów austrofilstwo mogło być w duszy tylko ryzykiem, grą, szczeblem do zrobienia „bajecznej karjery“, to dla tych prostych umysłów musiało stać się tylko sposobem do okazania swego polskiego patrjotyzmu.

Zbierzmy wszystko razem: uprzedzenie do galicjan jest nieuzasadnione. Gdybyśmy mogli procentowo wyliczyć, z pewnością pokazałoby się, że odsetek karjerowiczów, łapowników, złodziei, papierowych pedantów i t. d. nie jest między galicjanami większy niż między niegalicjanami. Głupców wszędzie jest liczba większa od potrzeby. Wszystkie dzielnice mają też własne błędy językowe.

Ale nagonka na galicjan za samo pochodzenie ich z najpiękniejszego kraju Rzeczypospolitej, taka ryczałtowa i powszechna, nie może mieć innego podłoża, jak przeważnie zazdrość nieuków względem ludzi, którzy się uczyli. Wszystkie wybiegi nie zdadzą się na nic. Bo chociaż dyplomy nie robią mędrca z półgłówka, to półgłówek bez dyplomów jest jeszcze mniej wart. Genjuszów zostawmy na boku, a bierzmy ludzi zwykłych, normalnych, jakimi wszyscy być powinniśmy. W najistotniejszym swoim rdzeniu jest to często walka przeciw wiedzy, fachowości, doświadczeniu zawodowemu. Jej wynikiem może być tylko obniżenie poziomu naszych urzędów, a co za tem idzie rozluźnienie i tak słabo zwartych wiązadeł naszego państwa. Nieuzasadnione wymówki o galicyjskim biurokratyźmie, umysłowości i t. p. są powierzchowną obsłonką, nieraz szczerze za treść braną zwłaszcza przez publicystów, ale ta obsłonka nie zakrywa nieuctwa tych sfer, które, podszywając się pod nią, chcą wyławiać karjery. Tam, gdzie niema wiedzy, studjów, przygotowania, praktyki, doświadczenia, gdzie nawet klucz partyjny nie dopisuje, tam „niegalicjaństwo” ma zastąpić wszystkie te walory.

Publicyści zwalczają pewne wady narodowe. Gdy tych wad okazowi przedstawiciele rekrutują się w widocznych przejawach z Poznania, charakteryzują to jako wadę specyficznie wielkopolską, jeżeli z Krakowa, to krakowską lub galicyjską.

Ale z wrażenia takiej publicystyki korzystają karjerowicze, niedouki, łowcy posad, ludzie z apetytem ponad rozmiary żołądka i z pretensją ponad wartość głowy — i dla własnego interesu obniżają fachowość naszej młodej administracji. To nawet publicyści powinni mieć na oku, że ich chęć służenia dobru ojczyzny bywa wyzyskiwana przez rozmaite cichołazy właśnie na szkodę całości. Dlatego czas z tą nagonką skończyć.

Jan Zamorski.

Pren. kwart. **3 zł.** Zagranicą kwart. **5 zł.**

Ceny ogłoszeń: 1 str. za tekstem **100 zł.** Konto cz. w P. K. O. № 3105

Redaktor i wydawca: STANISŁAW WŁODEK.

Godziny przyjęć: codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Zgoda 5.